

Niemcy w końcu podjęli decyzję o przekazaniu Ukrainie czołgów Leopard.
Ich wahania, całe to „scholzowanie” wywołało irytację Ameryki
i jej sojuszników z proukraińskiej koalicji. Ale spróbujmy zrozumieć Niemców.
Ich wizja historii i polityki przed rokiem się zawaliła.
Zmiana wymaga czasu i wsparcia. Także ze strony Polski.

PIOTR BURAS

Po wielu tygodniach wahania Niemcy w końcu przekażą Ukrainie czołgi Leopard. Na razie 14 sztuk, ale mają być kolejne, może nawet kilkadziesiąt – gdy uda się je doprowadzić do stanu używalności. Ukraina dostanie upragnione uzbrojenie, w sam raz do obrony przed spodziewaną ofensywą rosyjską. A Niemcy i Europa uzyskały gwarancje – większe niż w ramach NATO – że w razie eskalacji wojny Amerykanie ich nie opuszczą. A więc sukces Olafa Scholza?

Nie bardzo. Pozostał niesmak wywołany niemieckim hamletyzowaniem i presją, pod jaką niemiecki kanclerz postawił Waszyngton, by ten wysłał także swoje czołgi. Wiarygodność Niemiec ucierpiała i trudno będzie ją odbudować. A przecież prawie rok temu, trzy dni po agresji Rosji, Scholz zapowiedział *Zeitenwende*, punkt zwrotny w niemieckiej polityce zagranicznej. Czy zwrot w sprawie dostaw Leopardów dla Ukrainy to właśnie późne spełnienie tej obietnicy? A może wręcz przeciwnie – czołgowa epopeja świadczy o tym, jak zagubione są dziś Niemcy?

24 lutego 2022 r. w gwałtowny sposób zakończył złotą dla Niemiec epokę.

Doszło nie tylko do załamania się partnerstwa energetycznego z Rosją, ale również do geopolitycznego tąpnięcia, które wymusza redefinicję roli Niemiec w Europie.

Tu trzeba na chwilę wrócić do 1989 r. To był dla Niemiec kluczowy moment nie tylko z powodu zjednoczenia. „Doświadczenie 1989 r. – pisał kilka lat temu w głośnym esej na łamach „The Washington Quarterly” Thomas Bagger, obecny ambasador Niemiec w Polsce – ukształtowało niemiecką percepcję świata”. Niemcy bardziej niż inne kraje wzięły sobie do serca tezę Francisa Fukuyamy o końcu historii i dzięki temu mogły się poczuć – po raz pierwszy w XX w. – po właściwej stronie dziejów.

Zasady świata, który wyłonił się po zimnej wojnie, idealnie pasowały do kultury politycznej RFN. Albo tak się przynajmniej wydawało. Zjednoczone Niemcy nie musiały się zmieniać i dostosowywać.

To raczej inni mieli wyrównać do modelu niemieckiego. Liberalna demokracja, pacyfizm, socjalna gospodarka rynkowa, otwartość, drugorzędna rola siły militarnej – to wszystko było jakby stworzone na potrzeby końca historii, w której już na stałe miała dominować zasada współzależności.

Takie kraje jak Rosja czy Chiny właśnie dzięki globalnej wymianie handlowej i bezpośrednim kontaktom miały prędzej czy później przejąć wartości i mechanizmy rządzące otwartym rynkiem i systemem demokratycznym. Dążenie do tego celu było przez lata mantrą niemieckiej polityki zagranicznej i jednocześnie uzasadnieniem – obok korzyści ekonomicznych – zacieśniania więzów mimo głębokich często różnic między państwami. Świat miał zmierzać do niemieckiego modelu.

Po zjednoczeniu, zgodnie ze słowami Helmuta Kohla, Niemcy po raz pierwszy w historii miały też u swoich granic samych przyjaciół. To kolejna wielka zmiana, bo w trakcie zimnej wojny Niemcy były jednym z najsilniej uzbrojonych krajów świata. Dlatego nowa rzeczywistość (lub raczej jej percepcja) skłaniała do wniosku, że siła militarna straciła na znaczeniu. Zjednoczone Niemcy ściły wydatki na zbrojenia do 1 proc. PKB, zniosły obowiązkową służbę wojskową i zmniejszyły znacząco armię.

Towarzyszyło temu założenie, że ekonomiczna współzależność to najlepsza gwarancja stabilności, bezpieczeństwa i pokoju. W tej wizji świata wszystko pasowało do siebie jak ulał, a Niemcy szły do przodu jak burza. Aż do 24 lutego 2022 r.

Sygnały, że coś złego dzieje się na Wschodzie, pojawiały się już wcześniej, chociażby w postaci wojny gruzińsko-rosyjskiej w 2008 r. Ale sen trwał, bo wybudzenie się z niego z każdym rokiem stawało się trudniejsze. A niemieckie elity szczerze wierzyły, że są w stanie wpłynąć na Rosję, skłonić ją do modernizacji. Gazociąg Nord Stream 2 był idealnym przykładem tej wyobrażonej symbiozy między interesami gospodarczymi (tani gaz z Rosji) i priorytetami polityki zagranicznej. To również stało się

źródłem pewności siebie i poczucia moralnej wyższości.

Zwłaszcza u niemieckich socjaldemokratów taki stosunek do Rosji był ważnym elementem partyjnej tożsamości. Były socjaldemokratyczny kanclerz Willy Brandt otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla właśnie za otwarcie na Wschód. W jego strategii „zmiany przez zbliżenie” chodziło o to, by odgródzone murem fizycznym i politycznym dwa społeczeństwa niemieckie mogły znowu zacząć się komunikować, a w przyszłości może też zjednoczyć. Bez przełomu w relacjach z ZSRR nie było to możliwe. Ten mit polityki pokojowej, opartej na odprężeniu, rozbrojeniu i dialogu, ukształtował całe pokolenia niemieckiej lewicy.

Dziś jednak były lider SPD Sigmar Gabriel przyznaje, że Niemcy mieli błędne „wrażenie, że wiedzą, jak sobie radzić z Moskwą” i że „stanowisko większości Niemców wobec Europy Wschodniej było dość aroganckie”; mówi, że „Nord Stream 2 był błędem”. To godna uwagi samokrytyka, na którą Angela Merkel dotąd się nie zdobyła. A młodszy o pokolenie od Gabriela aktualny szef SPD Lars Klingbeil mówił w zeszłym roku: „W poszukiwaniu wspólnych obszarów [z Rosją] przeoczyliśmy to, co nas dzieli”. I zapowiadał, że „nie będzie powrotu do status quo sprzed agresji rosyjskiej”.

Na takie deklaracje wielu spogląda sceptycznie. Bo przecież śledztwa dziennikarskie z ostatnich miesięcy ujawniły nowe informacje o rosyjskim lobby w Niemczech, o uwikłaniu zwłaszcza socjaldemokratów w konszachty z Kremlm, o rosyjskich szpiegach w służbach specjalnych i wiele innych. I to wszystko miało by tak nagle zniknąć? Może więc ociąganie się Scholza w sprawie pomocy wojskowej dla Ukrainy wynikało z chęci wielu niemieckich polityków możliwie szybkiej odbudowy relacji z Rosją?

Przez ostatni rok u naszych zachodnich sąsiadów wiele się zmieniło. Niemcy nie importują już z Rosji surowców energetycznych. Za grube miliardy i w ekspresowym tempie zaczęli ▶